

Na linii nauka — przemysł

Współpraca nauki z przemysłem stanowi konieczność naszych czasów. Jest ona ważna dla obu stron, warunkuje zarówno postęp nauki, jak i rozwój techniki przemysłowej. Ale wiele w tej współpracy jeszcze szwankuje, wiele ogromnych możliwości jest niewykorzystanych. Nasz dialog ilustruje niektóre z problemów jakie występują na linii: nauka — przemysł. Dialog opracowaliśmy w oparciu o konferencję zorganizowaną niedawno przez Uniwersytet im. A. Mickiewicza. Wzięli w niej udział naukowcy z katedr chemii i fizyki UAM oraz przedstawiciele kilkudziesięciu zakładów przemysłowych i instytutów naukowo-badawczych z całego kraju.

NAUKA: — Laboratoria uniwersyteckie mogłyby wiele zrobić dla przemysłu, zwłaszcza dla mniejszych zakładów, nie mających własnych laboratoriów badawczych. Nie często się jednak zdarza, by jakiś zakład do nas się zwrócił. Nie wiemy o naszych możliwościach i chęciach? Czy też nas nie potrzebują?

PRZEMYSŁ: — Potrzeby istnieją, ale najczęściej dotyczą one usuwania jakichś usterek występujących w toku procesu produkcyjnego. Trzeba wówczas badania przeprowadzić natychmiast i zaraz je wprowadzić w życie. Naukowcy zaś takimi problemami raczej się nie interesują, nadto nie są na tyle dyspozycyjni, by coś zrobić szybko.

NAUKA: — W istocie przemysł rzadko zwraca się do nas z problematyką szerszą, długofalową, która nas interesuje szczególnie. A przecież tego typu opracowania powinny i dla przemysłu być interesujące, one bowiem mogą wytyczyć perspektywy rozwoju, nieraz na długie lata. Nasz przemysł w ogóle mało korzysta z krajowej myśli badawczej. W minionej pięcioletniej jedna z dziedzin naszego przemysłu zakupiła około 200 licencji, sprzedała natomiast około 20. Znany koncern angielski też branży w ciągu jednego roku sprzedał licencję za 35 mln. dolarów, zakupił natomiast za 12 mln. Tak powinny kształtować się proporcje. Przecież potencjał badawczy Polski pod względem liczebności kadr naukowych można porównać — zachowując oczywiście proporcje — do takich krajów jak Francja czy Anglia. Prawda, że robi się i u nas coraz więcej dla wykorzystania własnego potencjału naukowego, powołanie Komitetu Nauki i Techniki jest jednym z dowodów. Ale to ciągle za mało.

PRZEMYSŁ: — Pretensje nauki pod adresem przemysłu, o to, że kupujemy licencje zamiast korzystać z krajowego potencjału naukowego, odczuwamy od dawna. Warto tutaj wyjaśnić dlaczego. Opracowania licencyjne tym różnią się od

krajowych, że są kompletne, wyczerpujące. Nie wymagają żadnych dalszych, żmudnych opracowań dodatkowych ze strony przemysłu. Nasze opracowania są „niestrawne”, niedopracowane technologicznie. Dla przykładu, opracowany kiedyś przez UAM pewien katalizator okazał się bardzo trudny przy wdrażaniu go do produkcji. Trzeba tam było m. in. surowce mielnić, do czego używaliśmy rocznie kilkadziesiąt maszyn... do mięsa, bo na tak prymitywnych urządzeniach przyszło nam pracować. Oczywiście z braku opracowania odpowiedniej aparatury. Tego rodzaju kłopotów nie ma przy

Dialog o współpracy

wdrażaniu opracowania licencyjnego.

NAUKA: — Przemysł na ogół wie, jak rozmawiać z chemikami, znajduje z nimi wspólny język, choć też nie zawsze. Natomiast o wiele gorzej jest z fizykami. W ogóle nie wie, jak mógłby zatrudnić fizyka w fabryce. Tymczasem na zachodzie fizycy doświadczały pracują już od dawna w przemyśle. Co więcej, przemysł zatrudnia nawet fizyków, którzy w laboratoriach fabrycznych robią przez długie lata fizyczne prace teoretyczne.

PRZEMYSŁ: — Istotnie nie bardzo umiemy korzystać z prac fizyków. Ale tu znowu ten sam problem. Nie są oni w stanie dać nam opracowań kompleksowych, zawierających zwłaszcza elementy inżynierii fizycznej, technologii. Aby ich prace były pełne należałoby organizować zespoły badawcze złożone z różnych specjalistów, takich, których np. uniwersytet nie posiada. Być może połączenie specjalistów uniwersytetu ze specjalistami politechniki dałoby tę pożądaną wszechstronność, która by pozwoliła przygotowywać opracowania pełne, kompleksowe. Tym samym zaś można by zaoszczędzić wiele pieniędzy wy-

datkowanych na zakup licencji. Przemysł chemiczny w ostatnim czasie sygnalizował sporo problemów wymagających rozwiązania. Nikt się tym nie zainteresował. Chyba znowu przyjdzie nam zakupić licencje.

NAUKA: — Pełnej technologii chemicznej istotnie uczelnia wyższa czy instytut naukowy zrobić nie może. Pion inżynierii chemicznej w ogóle jest u nas jeszcze bardzo słaby. Dotyczy to całej gospodarki, dla której stanowi to wąskie gardło. Ale wracając do licencji — nie zawsze na nich można polegać, nie zawsze jest to cudowne rozwiązanie kłopotów. Znamy przykład, gdy produkt wedle zakupionej licencji w ogóle nie wyszedł. Po prostu było to złe opracowanie, a myśmy dla tej produkcji zbudowali zakłady. Oczywiście kontrahent musiał nam zwrócić koszty, ale przecież nie zwrócił straconego czasu. W innym przypadku sprzedano nam licencję nie rozpracowaną do końca technologicznie. Sprzedano tanio, bo chodziło o to, by nasz zakład potraktować doświadczał-

nie. Teraz tenże kontrahent sprzedaje te same licencje już o wiele drożej. Myśmy kupili tanio, ale w rzeczywistości okazało się to bardzo drogie, biorąc pod uwagę wszystkie dodatkowe koszty, no i znowu stratę czasu. Tych strat można by uniknąć opracowując więcej rzeczy w kraju.

PRZEMYSŁ: — Uniwersytet winien orientować swych absolwentów bardziej na sprawy aktualnej problematyki przemysłowej. Ci młodzi ludzie, nawet dobrze wyszkoleni, potrzebują około dwóch lat pracy w zakładzie, by móc rozpocząć naprawdę owocną działalność. A my chcielibyśmy, żeby oni znacznie szybciej po opuszczeniu uczelni dyktowali nam nowoczesne rozwiązania.

NAUKA: — To jest słuszne, potrzeba tu ściślejszej współpracy. Przemysł winien nam dawać możliwości przeprowadzania pewnych prób opracowanych już np. katalizatorów. Inaczej kończy się na publikacjach, bo przecież w uczelniach nie można przeprowadzić prób nawet ćwierćtechnicznych. Pragniemy — obok lepszego przygotowania absolwentów do bieżącej

Dokończenie na str. 2

PRZED ROKIEM KOPERNIKA

Na warsztacie — w projekcie — w marzeniach

Do inauguracji Roku Kopernikowskiego (500-lecie urodzin) brak jeszcze paru lat. Ten, co „wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię” narodził się 19 lutego 1473 r. Ale już teraz trwają prace, mające udostępnić nam i następnym pokoleniom wszystkie dzieła Kopernika.

Przed paroma miesiącami PAN utworzyła Pracownię Badań Kopernikańskich. O jej pracach informuje nas kierownik tej placówki, doc. dr Paweł Czartoryski:

— Prowadzimy badania nie tylko nad dziełami Kopernika, ale i nad pewnymi wiążącymi się z nimi zagadnieniami nauki w okresie średniowiecza. Przejeżdżamy materiały, pozostałe po pracach związanych z 450-leciem śmierci Kopernika, prowadzimy głównie przez prof. dr. Aleksandra Birkenmajera i niedawno zmarłego prof. dr. Gansinca. Najważniejszym naszym zadaniem jest jednak przygotowanie pełnego wydania dzieł Kopernika. Będzie to pierwsza w świecie, pełna edycja dorobku myślowego wielkiego uczonego.

Nie jest to łatwe zadanie. Oto mamy np. polskie teksty najważniejszego dzieła Kopernika — „De Revolutionibus”, tłumaczenie niedawne i dokonane w połowie XIX w. (przez Baranowskiego). Oba teksty trzeba ujednolicić, rozstrzygnąć niektóre kwestie sporne; zajmuję się tym doc. dr Jerzy Dobrzycki, kojarzący wykształcenie matematyczne z talentem filologicznym, dzięki czemu otrzymamy najlepsze wyjaśnienie problemów, wynikających z terminologii matematyczno-astrofizycznej. A tym samym nowe wydanie „De Revolutionibus”.

Łacińska część edycji dzieł Kopernika jest nielatawa, mimo istnienia oryginalnych rękopisów. Łacina, którą używał Kopernik, różni się bowiem od łaciny, znanej filologom i trzeba nie lada specjalistę, aby rozstrzygnąć zawile kwestie historyczno-językowe. Zajmuje się tym dr Domański, znawca specyfiki języka, w którym tworzył Kopernik.

W serii „Opera Omnia” zostaną wydane mniejsze prace astronomiczne Kopernika — „Commentariolus”, oraz „Raptularzyk Upsalski”, którego nazwa pochodzi od miejsca przechowywania tej pracy, od czasu najazdu szwedzkiego na Polskę. W tych dziełach Kopernik zawarł pierw-

sze opracowania i szkice teorii heliocentrycznej. Do „Opera Omnia” wejdą także pisma literackie w postaci myśli i aforyzmów Teofilakta Symonakty, znanych jako jego „Listy”, w tłumaczeniu z greki na łacinę, dokonany przez Kopernika. Wydane po raz pierwszy w 1509 r. w Krakowie znane są dziś raczej wąsko, z bardzo pięknej edycji sprzed kilkunastu lat.

Kopernikowskie pisma ekonomiczne stanowiąc będą dział trzeci „Opera Omnia”. Znajdą się tu cztery różne wersje lub stadia pracy Kopernika nad memoriałem w sprawie monet. W historii doktryn ekonomicznych, mają one swoje trwałe miejsce, gdyż zawierają pierwsze w dziejach sformułowanie prawa, noszącego imię Greshama. Prawo to głosi, że pieniądź gorszy wypiera z obiegu lepszy. Faktycznym odkrywcą tego prawa był Mikołaj Kopernik.

Około 20 listów Kopernika do różnych osób wejdzie do części ostatniej. Zależy nam na tym, aby z racji 500 rocznicy urodzin wielkiego uczonego ukazało się dzieło jego życia pełne i opracowane zgodnie z rygorami naukowymi. Dlatego też rezygnujemy z prac Kopernika tylko przypisywanych. Jego spuściznę trzeba traktować ostrożnie, nie jest bowiem łatwo stwierdzić, czy jest ona naprawdę wyrazem myśli Kopernika.

Kłopotów z rękopisami nie mamy. Oryginał „De Revolutionibus” znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej, ofiarowany przed kilkoma laty przez Czechosłowację (przez wiele lat znajdował się w Pradze). Oryginalny tekst „Commentariolus” znajduje się w Szkocji, w Aberdeen. Dzięki uprzejmości Szkotów, będziemy drukować dotychczas nieznany rękopis jako pierwodruk.

Natomiast „Studia Kopernikańskie” składać się będą z publikacji różnych autorów. Dążymy m. in. do wydania pism wybranych profesora Birkenmajera, najznakomitszego znawcy dzieł Kopernika; prace te są wysoko cenione w świecie a trudno dostępne. Szczycimy się, że naszą pracę możemy oprzeć na dorobku tego wielkiego uczonego.

Opracowaniem zagadnień, związanych z życiorysem Kopernika, zaj-

Dokończenie na str. 2

SPRAWY RODAKÓW

Nie powiem nic nowego, stwierdzisz, że najpierw kapitan Kloss, a potem czterech pancerni — zrobili osobliwą karierę, zdobywając szturmem wielomilionową rzeszę telewizyjnych sympatyków. Przedtem entuzjazmowano się dość powszechnie czyniami, przypominającymi własnie przez TV, Robin Hooda, bądź przebrzmiałego już nieco — Monte Christo. Tajemnica owych sukcesów, mimo różnic w pochodzeniu widowisk, różnic ich poziomu artystycznego — w gruncie rzeczy okazała się dziwnie prosta: oto raz jeszcze potwierdziła się stara prawda, w myśli której ogromna, zdrowa część społeczeństwa, pragnie mieć kontakt — przez historię, literaturę, film, telewizję — z postaciami uosabiającymi ideały, uosabiającymi pewne powszechnie aprobowane obywatelskie cnoty, skorymi do walki z przeciwnościami losu, do obrony uciskanych, ubogich, pokrzywdzonych.

Staliśmy się wobec tych bohaterów — co jest zasługą umasowienia literatury oraz widowisk teatralnych i filmowych — bardziej sceptyczni, krytyczni, wymagający niż kiedyś.

Różni bohaterów, rozmaite ucieleśnienia ideałów, podsuwali nam, zwłaszcza w ciągu ostatniego półwiecza, historycy, pisarze, politycy, przy czym niejednemu z owych, spiszonych zdawałoby się herosów, traćli na splendorze z biegiem czasu, w miarę wzbogacania się naszej znajomości spraw świata.

Ale zarazem narastało w nas pragnienie wniesienia na piedestał społecznych cnót bohaterów historii najnowszej, ba — naszej współczesności. Z latami wojny, ruchem oporu, okresem walk o władzę — historycy pospół z literatami, dali sobie jakoś radę; działali znacznie więcej niż przed 15 laty wie się i nauczyli o wybitnych postaciach tego okresu. Są natomiast kłopoty ze współczesnością.

Nie jest to coś, co mogłoby dziwić. To wiemy, że dla prawidłowej oceny zdarzeń — ale i ludzkich działań — potrzebny jest

pewien dystans. Z perspektywy czasu oceny rysują się wyraziście. Ale, jak się rzekło, staliśmy się bardziej wymagający. I — niecierpliwi. Nie chcemy wzorca a la martwy dekalog, trudno nam też sobie wyobrazić współczesnych uosabiających formalnie partyjny statut. Chcemy wiedzieć jacy powinniśmy być, chcemy to wiedzieć, choć przecie nie mamy złudzeń co do tego, że — w masie, czy większość z nas z osobna — mocno od wzorcowego modelu bohatera współczesności odbiegamy...

Oto i samo sedno sprawy: bohater naszych czasów, czy może — idealny wzorzec obywatela anno 1967 — jaki on po-

Piotr Życki

Nasi współcześni

winien być? Mnożą się ankiety, bardziej czy mniej udane, wypowiadają się socjologzy, sygnują wypowiedzi na ten temat prostych obywateli — szczerze bądź wypracowane — prasa występuje z kampaniami publicystycznymi, telewizja zapuszcza społeczne sondy, choćby za pomocą „archimedesowych” wzorców.

Wszystkie te przedsięwzięcia, nawet razem wzięte, nie pozwalają jeszcze na ulepszenie postaci, odpowiadającej wysokim wymogom współczesnej socjalistycznej społeczności, która nie jest skora do akceptowania papierowych modeli. Ale zanim doczekamy się uczonych rozpraw, pomocnych w wykrystalizowaniu ludzkich cech, osiągniętych współcześnie, szczególnie cenną — te półdyletanckie poczynania nie są bez znaczenia; mają one walor działań poznawczych, walor szkicu, który w miarę wzbogacania go szczegółami, prezentuje się plastyczniej i dość przekonująco.

Z głosem przed pewnym czasem ankiety „Życia Warszawy”, dotyczącej stosunków rodzinnych, wynikało na przykład jednoznacznie, że w małżeństwie partnerzy cenią u siebie wzajem w pierwszej kolejności takie cechy, jak posiadanie jachu, solidność, zdolność do poświęceń — a dopiero dalej wymieniano walory w rodzaju urody, czy tak zwanego życiowego sprytu.

Niedawno w bytomskiej kopalni węgla „Rozbark” rozpisano ankietę, zmierzającą do ustalenia, jakie cechy cenią górnicy u swych kolegów (w tym — zwierzchników) najwyżej. Z zebranych danych wynikało, iż najbardziej ceniona jest koleżeńskość,

dalej — solidność w postępowaniu, z kolei coś, co określano mianem „by można było mu ufać, polegać na nim” i wreszcie — umiejętność sprawiedliwego oceniania (to chyba dotyczyło zwierzchników). Przypomnijmy inne próby personifikowania współczesnego bohatera; kiedyś w to zwyciężyła lekarka wrocławska, opiekująca się z poświęceniem chorymi na ospę. W poczet wybitnych rodaków zaliczono inżyniera Piużka z Poznania, którego aparatura zwana płuco-sercem z pewnością uratowała niejedno ludzkie istnienie. W tym roku na Pomorzu jedna z gazet, prowadząc kampanię, zatytułowała „człowiek, którego cenimy” — zdołała zgrupować szereg cech, określanych jako „pierwzoplanowe” u współczesnego ideału obywatelskiego.

Bohater naszych czasów — orzekli uczestnicy omawianego plebiscytu — powinien nam imponować. Nie koniecznie jednak musi to być ktoś, kto ratuje cudze życie z narażeniem swojego. Powinien na-

tomiast być znakomitością w swoim zawodzie. Co więcej, robotę musi on wykonywać z myślą o innych. Nie może też ów „człek idealny” stronić od działalności społecznej; przeciwnie, za szczególnie cenne uznano umiejętność łączenia pracy zawodowej ze społecznym zaangażowaniem, stawiając ponadto „obywatelowi wzorowemu” dodatkowy wymóg poszanowania swego otoczenia.

Zarysowałem jedynie kilka linii, składających się na szkic, który mógłby pretendować do modelu Polaka 1967. Można by bez większego trudu szkic ów wzbogacić na zasadzie odwrotności cech negowanych przez współczesnych. Nie mogą przecież liczyć na powszechny aplauz cynik, cwaniak, obibok, utracjusz, bezideowy dorobikiewicz, itp. itd. Nie może też liczyć na akceptację pozer, przypominający skrzyżowanie mumii ze spiżowym biustem, schematyczny w sądach, bez polotu, wzdający tylko koniec swego nosa bądź odwrotnie — jedynie odległą perspektywę.

Jest wszakże pośród tych rozlicznych, bardziej i mniej ważkich przymiotów, w które chciałoby się wyposażać bohatera współczesności — pewna cecha, pełniąca rolę wspólnego mianownika; cechę tę, jako bezspornie dodatnią, żeby nie rzec — fundamentalną, gotowiliśmy słać powszechnie. Jest to stosunek do pracy. Wiem, nie zabrzmiało to efektownie, ale właśnie stosunek do pracy — rzetelny i twórczy, dobra znajomość swego zawodu, postępowanie się przy jego wykonywaniu pełnią mózgu i serca — to jest coś, bez czego nie można sobie wyobrazić modelu wzorcowego obywatela współczesnego.

Bo cokolwiek nie powiedzieliśmy na temat bohaterstwa, ideałów, ludzi, których cenimy — skłonni jesteśmy akceptować głównie ulepszony model nas samych. Bohater współczesności, choć to brzmi sucho i zgoła nieromantycznie — to ktoś z nas z tych najlepszych, człowiek pracy o nieprzeciętnych walorach zawodowych i moralnych, w miarę rzeczowy — w miarę entuzjasta.

Ilia Selwiński — sześćdziesięcioletni poeta rosyjski należy do najwybitniejszych pisarzy współczesnych. Jego poemat „Polowanie na tygrysa” tłumaczył przed wojną Julian Tuwim, poemat „Alicja” przełożył swego czasu Seweryn Pollak. Czytelnikom poznańskim przedstawiłem kilka lat temu poemat tego pisarza „Sewastopol” — obecnie chciałbym zapoznać ich z fragmentem wspólnego poematu „Gandawa”, związanym z obozem koncentracyjnym.

RYSZARD DANECKI

Ilia Selwiński

Oświećim

Przedwczoraj śniło mi się: idę —
— i ze mną żona — albo w Oświęcimiu,
albo w Majdanku — idę przed szeregiem
brunatnozielonych, faszystowskich zbirów
i, że miliardy nienawistnych oczu,
złośliwych, ironicznych, pogardliwych
lub po prostu ciekawskich, patrzą — patrzą na nas —
na to, jak z żoną idziemy na śmierć.
Cierpiełem wtedy — ale nie ze strachu.
Nigdy nie odczuwam strachu wtedy, gdy grozi śmierć.

W dzieciństwie kiedyś
wstrzymałem oddech, aby się przekonać,
jak długo wytrzymam bez powietrza?

Mija

minuta. Mam w ręku zegarek.

Złote

trzy rybki, trzy drgające rybki
zneruchomiałe w akwarium cyferblatu
i ledwo tchną. I ledwo — ledwo tchną...
Nie do zniesienia! Zacerpnąć powietrza?
Nie, nie...

Nie można...

Teraz już nie można.

Zbyt dużo już udało się osiągnąć.
I nagle stało się tak lekko — lekko,
tak radośnie, jak gdybym poczuł skrzydła —
jak mewa, która z wody się wynurza?
Lecz dlaczego leżę na podłodze?
i obok — obok leży mój zegarek,
rozbity niby małeńkie serce?

Poznawałem:

okno, i obraz, moje własne palce...
Wtedy zrozumiałem — raz na zawsze
najważniejszą w ludzkim życiu rzecz.
Tak, zrozumiałem: śmierci się nie czuje,
nie słyszy — jest jak puch topoli.
Męka agonii i strach przed śmiercią,
świadomość końca — to nie śmierć, to życie.
Dopóki jeszcze cierpię — żyję!
Dopóki śmierć mnie obejmuje — żyję!
Dopóki umieram od trwogi — żyję!
Śmierć? Jej po prostu nie zauważamy...
Pomyślcie: jak to jednak dobrze —
nam tylko żyć! I nikt z nas nigdzie, nigdy,
nie zobaczy swojego trupa.
Jeżeli umrzemy — to jedynie dla innych —
dla siebie samych nie możemy umrzeć.
I śmierć — to dla nas tylko myśl o śmierci.
I wtedy przestałem lękać się strachu.
... Cierpiełem — ból przelewał się płomieniem
przez moją pierś — lecz nie ze strachu, nie!
Dlatego jedynie, że rozłącza za chwilę
mnie z moją żoną — tuż przed każdą
i, że to będzie dla niej takie straszne,
że umrę z bólu.

Trzeba tutaj stwierdzić,
że nauka niczego nie mówi
o ludziach, którzy przeżyli wstrząs
we śnie.

Są przecież tak małe życia,
że cała przestrzeń ich ankiety
zmieści się na bilecie tramwajowym:

„Nie”

„Nie sądzony”.

„Nie pracował”.

„Nie był”.

A jednak — jednak coś my wiemy
na przykład o tych, co nie wstali ze snu?
Idzie za trumną rodzina ich, krewni,
Słuchać rozmowę:
— To rozumiem — śmierć.
Usnął — i koniec. Co ty na to, Iwanie?
Gybym ja mógł tak...

No, a cóż wy na to,
jeżeli zmarły nasz o piątę rano
tragicznie zginął — zmarł w koszmarnym śnie
rozszarpany w dzungli przez czarną panterę?
Powiecie, że to jednak różnica:
Sen — to nie jawa...

Tak, jest dla rozumu.
A serce tego nie odróżnia.
Czy pękłoby na widok czarnej pantery?
Jednym słowem — sen,
to jest jak gdyby druga rzeczywistość.
I jeżeli mamy pejsaż duszy, mapę,
na której można umieścić ten krajobraz —
zaznaczcie na mojej: Majdanek...

PRZED ROKIEM KOPERNIKA

Dokończenie ze strony 1

muje się dr Jerzy Drewnowski. Jak wiadomo, istnieje kilka życiorysów wielkiego Polaka, którym zajmowali się liczni uczeni — Brożek, Gassendi, Starowolski i in. Nowa edycja tych życiorysów i notatek biograficznych wymaga zbadań źródeł, studiów porównawczych, wyjaśnień powstałych błędów itp.

GŁOS TYGODNIA

2 VII 1967 Nr 236

W przygotowaniu, są prace dotyczące zagadnień filozoficznych i światopoglądowych oraz rozwoju nauk ścisłych na Uniwersytecie Krakowskim — w czasach Kopernika.

Ciekawego odkrycia dokonała dr B. Bienkowska. Badając materiały, dotyczące szkolnictwa średniego, stwierdziła, że oddziaływania Kopernika i jego teorii budowy wszechświata zaczęło się o wiele wcześniej niż dotąd sądzono. Odkrycia te cofają początki wpływu Kopernika na szersze kręgi społeczeństwa polskiego o 200 — 300 lat. W pracy tej, wchodzącej do „Studiów Kopernikańskich”, interpretacja autorska zostanie połączona z kolekcją źródłowych tekstów. Pracom tego rodzaju patronuje Międzynarodowa Unia Historii i Filozofii Nauki.

Remigiusz Szczęsnowicz

Po prostu jestem

Refleksje z piątego festiwalu opolskiego

Główny koncert Festiwalu Opolskiego był, jak co roku, najlepszym koncertem czterodniowej batalii nie tylko ze względu na program wypełniony nagrodzonymi i wyróżnionymi utworami, ale także i pod względem wykonawstwa. Artyści, pozbawieni już konkursowej tremy, mówiąc językiem sportowym, rozluźnieni, śpiewali znacznie lepiej niż w konkursie. Spośród 120 utworów, prezentowanych na konkursowych imprezach, nagrodzono kilkanaście, nie dzieląc w tym roku piosenek na poszczególne kategorie. Na różnych prawach walczyły więc o palmę pierwszeństwa ballady Tadeusza Chyły, literacko-satyryczne piosenki Wojciecha Młynarskiego, liryczne przeboje będące zawsze w zdecydowanej większości i bardzo ciekawe w tym roku „songi” mocnego uderzenia.

Trzy równorzędne pierwsze nagrody otrzymały: „Po prostu jestem” Sławińskiego i Młynarskiego, „Jesteśmy na wczasach” Senta i Młynarskiego oraz „Po co nam to było” Adama Skorupki i Jana Zalewskiego. Jak więc widać i w tym roku królowały teksty Wojciecha Młynarskiego (jego piosenka z muzyką J. Wasowskiego „W co się bawić” otrzymała nagrodę dziennikarzy). Młynarski stał się ulubieńcem Opola, a jego interpretacje nagradzano niezmienne burzliwymi oklaskami. Ciekawe jest to zamiłowanie do piosenek, które w gruncie rzeczy piosenkami nie są, których nigdy nie będzie śpiewać tłum, które nie zrozumiałe są, jak to wykazał występ Młynarskiego w Bratysławie, dla obcej widowni, które opierają się na świetnie podanych scenkach z naszego codziennego życia, z folkloru akademika czy domu wczasowego, z listów pisanych do rubryki porad sercowych, z podsłuchanych rozmów młodych ludzi.

Zresztą nie tylko sukcesy Młynarskiego potwierdzają, że coraz bardziej zaczyna dominować tekst, którego też na równi z muzyką trzeba

śluchać. Dużym powodzeniem bowiem cieszył się nadal wykonawca doskonałych ballad Tadeusz Chyła, oraz student z Lublina Kazimierz Grzeszkowiak twórca i odtwórca znakomych „Panien z Cicibora”, nagrodzonych zresztą specjalną nagrodą za opolski debiut.

Drugim wydarzeniem Festiwalu Opolskiego jest, moim zdaniem, piosenka mocnego uderzenia. Wydorosła, była równorzędnym partnerem „piosenek normalnych”. Znalazło to wyraz w nagrodzeniu Czesława Niemena nagrodą specjalną za utwór „Dziwny jest ten świat”. Krakowscy „Skaldowie” adaptowali do potrzeb big-beatu nasze piosenki ludowe a szczególnie góralskie. Niebiesko- i Czerwono-Czarni specjalizują się w polskich songach, w których nie ma już beztreściowego bełkotu, a często wcale mocny literacko tekst.

Podniósł się też znacznie średni poziom wykonawczy. Rosną następcy sławnych gwiazd w każdym niemal domu kultury czy zespole fabrycznym. Dowiodła tego obecność na punktowanych koncertach młodych wykonawców — laureatów konkursu CRZZ, dowiodła tego impreza „Mikrofon dla wszystkich”, na której nie było już prawie żenującej amatorszczyzny. Okazuje się też, że dobre piosenki tworzą i śpiewają socjologowie i plastycy, studenci i uczniowie, a więc skończyła się era zawodowych twórców, zbliżamy się zaś do tradycji włoskich czy francuskich, do piosenki powstającej „z ludu”. To chyba też duża zasługa festiwalu opolskiego, który stał się imprezą wprowadzającą w szeroki świat nowe twarze, nowe talenty, nowe style piosenki.

☆

A jak wypadły w Opolu poznaniaki? Bogdana Zagórska prezentująca się jak zwykle ciekawie, śpiewała we własnym stylu piosenkę ambitną, nie łatwą, która nie znalazła uznania u jurorów. Zdzisława Sośnicka zwróciła na siebie uwagę



Wież człowieka w jego środowisku, więzy między ludźmi różnych środowisk — to sprawy, od których w praktyce każdej działalności w niemałym mierze zależy powodzenie podejmowanych przedsięwzięć; od tego, jak te więzy się kształtują zależą stosunki między ludźmi. Jest to temat nie tyle modny, ile ważny. Podejmuje go m. in. Ludwik Krasucki w „Tygodniku Demokratycznym”.

WIĘZ INTELIGENCJI TECHNICZNEJ Z KLASĄ ROBOTNICZĄ

Praktyka socjalistycznego rozwoju naszego społeczeństwa dowodzi, że cała inteligencja coraz bardziej stapia się z klasą robotniczą w sposobie myślenia, jak i w czynnym udziale w życiu społecznym i politycznym kraju. To jest na ogół dostrzegane, pozostaje jednak zadaniem nauki, przede wszystkim socjologii, badanie, jak przebiega ten proces, jaki jest kierunek przemian. Właśnie opierając się na badaniach socjologicznych, Krasucki stwierdza, że podstawowym procesem społecznym Polski dzisiejszej jest integracja. Wynika to z faktu, że ustrój socjalistyczny przede wszystkim łączy, zespolą, konsoliduje, wysuwając na czoło wspólne, tak doraźne jak i historyczne interesy ludzi pracy. Badania dotyczące klasy robot-

niczej i inteligencji technicznej, którymi zajmuje się autor potwierdzają tę ogólną prawdę, świadcząc, że mamy do czynienia z procesami postępującego zbliżenia. Autor dostrzega m. in. takie podstawowe źródła zbliżenia robotnika, technika i inżyniera.

W zakładach reprezentujących współczesny poziom techniczny funkcje robotnika czy to obsługującego złozonego mechanizm, czy działającego na podstawie skomplikowanego rysunku technicznego, środkami, wymagającymi mistrzowskiego opanowania techniki — upodabniają się do czynności technika. Jest to stan dzisiejszy i perspektywa na jutro. Podciąganie robotników wielu gałęzi przemysłu do wymogów współczesnej techniki jest społeczną stroną medalu postępu technicznego. To decyduje o generalnych przyczynach przybliżania się kadry robotniczej do poziomu technika, czasem i inżyniera, jeśli chodzi o kwalifikacje, wiedzę i nieuchwytny czynnik wyobraźni technicznej.

Inną siłą napędową zbliżenia jest rola integracyjna miejsca pracy: współczesny podział pracy powiększa znaczenie specyfiki środowiska, branży, gałęzi produkcji, a obniża rolę poprzecznych podziałów w tym środowisku; coraz częściej mówimy o np. metalowcach, czy górnikach, przenosząc na drugi plan różnice między np. stygarem a zwykłym rebaczem.

Sami zainteresowani w odpowiedziach na pytania ankiet są zdania, że ani pochodzenie społeczne, ani różnice w wykształceniu nie stanowią o liniach podziału w środowisku zakładowym; wiążą się to niewątpliwie także z tym, że pochodzenie społeczne kadr robotniczych i kadr inteligencji technicznej jest w wielu zakładach identyczne — wielu techników i sporo inżynierów to w rzeczywistości wczorajscy robotnicy lub ich synowie.

Inną platformą postępującego zbliżenia klasy robotniczej i inteligencji technicznej jest fakt, że i jedni i drudzy zdają sobie sprawę z potrzeby dalszej nauki: z ankiet wynika, że prawie 70 proc. robotników i aż 80 proc. inżynierów uznaje tę potrzebę, a na różne kursy uczęszcza co piąty robotnik i 17 proc. techników.

Są to tylko niektóre zjawiska świadczące o postępującej integracji robotników, techników i inżynierów. Sprawy tu poruszone nie wyczerpują oczywiście tematu, świadczą jednak o tendencji, która jest równoznaczna z ważnym nurtem integracji naszego nowego społeczeństwa.

KODEKSY I GŁOS SUMIENIA

Inny problem z zakresu stosunków międzyludzkich porusza Wanda Falkowska w „Prawie i Życiu” zajmując się sprawami etyki zawodowej. Jest nowym zjawiskiem, że powstaje, zwłaszcza ostatnio, szereg

walorami głosowymi lecz — jak to słusznie stwierdził któryś z warszawskich recenzentów — piosenkarka ta wciąż jeszcze nie trafiła na „swoją” przeboję, który by uczynił ją bardziej popularną. Bardzo podobna się Urszula Sipińska — głosowo i interpretacyjnie. Piosenka „Zapomniałam” w jej wykonaniu zasłużyła na czołową lokatę, zresztą zaprezentowanie jej w koncercie galowym świadczyło o tym iż zdecydowano się Sipińską wyróżnić, aczkolwiek nieoficjalnie.

Na linii nauka — przemysł

Dokończenie ze strony 1

problematyki przemysłowej — doszkalać także ludzi pracujących już od lat w przemyśle, którzy dawno oderwali się od uczelni i nie śledzą bieżącego postępu w swojej dziedzinie. Myślimy tu o całych studiach podyplomowych.

PRZEMYSŁ — Mówiono o tym już dawno. Nic do tej pory nie zrobiono. A kto wie czy w niektórych choćby dziedzinach, nie powinno się wprowadzić nawet przymusu studiów podyplomowych. Dałoby to także korzyści uczelniom, do których doświadczeni fachowcy wniesliby to, czym żyje przemysł.

NAUKA — Jest jeszcze kwestia ponoszenia ryzyka przez przemysł. Trzeba finansować nawet rzeczy nie rokujące nadziei natychmiastowych korzyści. I częściej zwracać się do uczelni i instytutów. Nieraz — jak to zdarzyło się nam w „Stomilu” — zaczyna się współpraca od drobnych spraw, stopniowo rozgałęziających się w ogromne problemy, które pomagamy rozwiązywać. Trzeba nam też nareszcie próbować częściej robić coś wspólnie z inżynierami, konstruktorami, nawet ekonomistami, by dawać rozwiązania pełne.

MIECZYSLAW SKĄPSKI

kodeksów etycznych środowisk, które nigdy przedtem nie usiłowały kodyfikować swych norm moralnych.

Powstały już zbiory zasad etycznych czy kodeksy obyczajowe adwokatów, Ludowego Wojska Polskiego, dziennikarzy, służby zdrowia, są projekty kodeksów etycznych nauczycieli, farmaceutów, inżynierów. W dążeniach do posiadania własnego kodeksu etyki zawodowej, uwzględniającego specyfikę zawodu i zawierającego recepty na nartujące go konflikty natury moralnej, autorka upatruje poszukiwania czegoś, co określa stabilizację moralną, a zarazem konsolidację i podniesienie godności zawodu. Wymagania kodeksów etycznych wobec członków danej grupy zawodowej są bowiem wyższe od ogólnych norm etycznych, obowiązujących „porządnego” człowieka. Chęć tworzenia kodeksów świadczy z jednej strony o zamiarze kształtowania nowych norm moralnych, surowszych i bardziej szczegółowych od norm etyki ogólnej, co można by interpretować jako przejaw ogólnego podniesienia się moralności. Z drugiej strony — obserwuje się jednak pewne symptomy upadku etyki, dostrzeganego zresztą we wszystkich prawie społeczeństwach. Więc może kodeksy zawodowe są przejawem obrony danych środowisk przed tym upadkiem?

Autorka nie rozstrzyga tej kwestii, wymaga ona bowiem specjalnych badań socjologicznych. Falkowska przestrzega przed zbyt pochopnym mnożeniem kodeksów zawodowych, argumentując, że:

„Kompletne skodyfikowanie zasad etycznych i moralnych ludzi wszystkich zawodów i wszystkich specjalności, mogłoby pociągnąć za sobą zjawisko najbardziej niebezpieczne, a mianowicie zupełne pozbawienie człowieka najczulszego barometru moralnego, jakim jest głos własnego sumienia.

PILOT JERZY BAJAN

W „Życiu Warszawy” (nr 155, C) znajdujemy wspomnienie A. W. Wys. poświęcone zmarłemu przed kilku dniami jednemu z najlepszych polskich pilotów — Jerzemu Bajano-wi. Autor przypomina karierę lotniczą Bajana, zwycięstwa w zawodach lotniczych przed wojną, jego służbę wojskową w charakterze dowódcy polskiego lotnictwa na Zachodzie, po czym pisze:

„Po wojnie, którą ukończył w stopniu pułkownika, nie zdecydował się z różnych przyczyn na powrót do kraju. Mimo to trzymał się zawsze z dala od głównych nurtów emigracyjnej polityki. Szanowany i ceniony przez byłych towarzyszy broni, do ostatnich czasów pełnił funkcję prezesa Rady Wykonawczej Stowarzyszenia Lotników Polskich w Londynie. Jego śmierć to dotkliwa strata dla polskiego lotnictwa. Jego nazwisko zapisane jest w dziejach polskich skrzydeł na zawsze”.

LEKTOR